

Jerzy Ufnal "Alfred".

© ARCHIWUM WSKROBIE

Jak przyjechali bolszewicy w 1944 r. to od razu ubodły mnie takie plakaty: Śmierć bandytom z AK i NSZ. Takie czerwone były. o masz i wyzwolenie - pomyślałem sobie.

Ojciec pracował w zakładach kolejowych w Łapach. Do żadnej partii nie należał ale był sympatykiem komunistów. Był też w orkiestrze kolejowej i należał do KPW czyli Kolejowego Przynsposobienia Wojskowego - prorządowej organizacji. Zawsze jednak słuchał radia bolszewików to raz nawet dostałem od niego po gębie, jak zacząłem się z nim spierać i tłumaczyć, że to jest draństwo. To w czasie okupacji było. Ja wiedziałem o tym wszystkim a ojciec nie chciał wierzyć. Najwóęcej mnie przekonał o tym co to za ustrój jeden kolega, bo gdy w 1939 r. przyjechali szli do nas bolszewicy to w 40-tym roku, jako, że trzeba było gdzie. pracować a miałem wtedy 17 lat, to pojechałem do Lidy na kurs inspektorów skarbowych. Akurat wtedy chodziłem do 3-ej klasy gimazjum mechanicznego, ale kazali drugi raz tego samego się uczyć to machnąłem na to ręką. Rzuciłem tą szkołę i pojechałem do Lidy. Pół roku byłem na tym kursie. Tam spotkałem takiego Polaka Borysa Łobko, który mieszkał pod Lidą. Przed wojną już należał do organizacji komunistycznej. Poznaliśmy się właśnie na tym kursie i on mi opowiadał jak to było. Uczył się przed wojną w szkole technicznej (coś jakby liceum zawodowe) w Wilnie. Był dwa lata starszy ode mnie. Tam właśnie należał do organizacji komunistycznej. Gdzie jakie strajki były, to zawsze miał pełne kieszenie pieniędzy, bo dawali mu je, żeby chodził tam i agitował. Był strasznie przekonany, że to właśnie na to czekają ludzie. Na szkolenie wysyłali go do Rosji przez "zieloną granicę". Toż widziałeś co się tam dzieje? - pytałem się go. - Noo taak, oni nam pokazywali. Nie mogli nigdzie chodzić sami. Pokazywali im w kołchozach, sowcho-

zach, fabrykach. Pokazywali jak tam ludzie żyją. No przecież to raj na ziemi, ale nigdzie nie wolno było zrobić krok w bok. Gdy wrócił do kraju to wyrzucili go ze szkoły. Nie mogli mu udowodnić, że należy do organizacji komunistycznej to nie aresztowali ale wydalili ze szkoły. To było chyba na dwa lata przed wybuchem wojny.

Gdy przyszli tu bolszewicy w 39 to zaraz zaczęli tworzyć milicję i on wstąpił do tej milicji. Dostał awans na jakiegoś starszego oficera. W milicji był jednak tylko miesiąc, bo dopiero wtedy zorientował się jak ten komunizm wygląda na prawdę. Każdy przecież w dziurawych łapciach z giwero na sznurku. \*x Toż to takie zakłamanie, takie draństwo - opowiadał - jak ja przez tyle czasu byłem taki głupi i pomagałem im i narażałem się. I po co to wszystko i na co?. razem byliśmy ze 3 czy 4 miesiące gdy nagle chłopak zniknął. Dopiero po jakimś czasie dowiedziałem się od jego kolegów, że aresztowany został w poeś ciągu z bibułą antybolszewicką i chłopak przepadł całkiem. Dowiadywałem się później u jego matki: Nic nie wiadomo - odpowiedziała. Ślad po nim zaginął. Czyli już wtedy jakaś organizacja niepodległościowa zaczęła działalność.

No i potem jak wróciłem z tego kursu do domu to opowiadam ojcu to co ten chłopak tam widział i widział tutaj nic to jednak nie docierało do niego. Ojciec oczywiście nie brał żadnego udziału w jakichś demonstracjach antyrządowych czy prokomunistycznych ale słuchał ich z zaparciem, a przecież w 1920 r. był ochotnikiem na wojnę bolszewicką.

Po skończeniu kursu zacząłem pracować w urzędzie skarbowym w Czyżewie. Wszyscy kierownicy, specjaliści to wszystko byli Ruscy. Ja natomiast brałem 8 delegacje i jeździłem w teren kontrolować poborców podatkowych, a ja przecież wtedy miałem

dopiero 17 lat. Po półrocznym kursie nawet dobrze po rusku nie umiałem, pisać i czytać jednak potrafiłem. No jeździłem tam - to niewielka w końcu robota była - sprawdził tego poborcę, ile pieniędzy było to wzioł i przywiązał do tego Rejonu. W tych gminach - sielsowietach oczywiście też byli bolszewicy więc spotykałem się z nimi. Czasami to i wypilo się. W Dąbrowie spotkałem jeszcze swego nauczyciela z powszechnej szkoły i z nim też nieraz sobie wypiliśmy. ~~xxxxx~~ On był organizatorem ~~harcerstwa w~~ ~~gminach~~ i ja należałem do tego harcerstwa. bardzo go lubiłem i on mnie chyba też.

No i któregoś razu miał miejsce taki wypadek. Zajechałem do tej Dąbrowy i w gminie spotkałem tego nauczyciela. Był jeszcze jakiś Ruski - nadleśniczy. Kuternoga. Pamiętam właściwie, że miał suchą nogę. No i oczywiście trochę wypiliśmy sobie ~~o~~ i jak to zwykle jakoś tak zgadaliśmy się o wojnie, a to był akurat okres gdy oni walczyli z Finlandią i baty tam zbierali. ja tam trochę po rusku już mówiłem i ten bolszewik mówi, że nasza armia to była do kitu, bo tylko z pistoletami ludzie potrafili gonić. Ja po wypiciu kilku kieliszków przestałem być ostrożny i wypaliłem: Co wasza armia taka magucza? Taka silna? na Finów żeście napadli, już prawie pół roku wojujecie a to przecież take ziarenko ten kraj a wy przecież całą Azję macie i jeszcze nie wiadomo jaki koniec będzie bo dostaniecie takie baty, że sie nie pozbieracie. - Och jak ten Ruski skoczył: Ty kontrrewolucjonista!!! Taki wróg narodu!!! -  
i za teleon . Wtedy nauczyciel złapał go za rękę i tłumaczy mu: Słuchaj co ty? Młody chłopak to głupi. Co on tam... - To niemożliwe, on taką propagandę sieje... - zaproponował nadleśniczy. ja trochę przycichłem, bo patrzę, że to nie przelewki i zaraz na białych niedźwiedziach się znajdę. No jakoś go usa-

dzili i dał spokój. Przyjechałem do Czyżewa i po dwóch dniach wzywam mnie Zawiedujuszczij Rejonu czyli kierownik Urzędu Skarbowego. Wyprosił wszystkich z pokoju. Coś niedobrze - pomyślałem sobie. I on zaczyna do mnie mówić po X rusku: Słuchaj, ja mam takiego jak ty syna w Rosji. I mnie ciebie szkoda, bo ty jeździsz w teren a ty taki młody to i głupi. gadasz różne rzeczy nie potrzebne i jak dalej będzieisz tak robił to sie o-pamiętasz dopiero na białych niedźwiedziach. ~~gaxguxxaxxaxx~~ Już jeden i drugi raz NKWD dopytywało się o ciebie. tak, że ty więcej w delegacją nie pojedziesz. - No dlaczego - zaopnowałem. - Dlatego, że tam już ciebie obxserwują. tam chodzo za tobo i tu sie pytają o ciebie. Po co ty gadasz takie rzeczy. Ty jesteś Polak, patriota ale trzeba mieć rozeznanie. U nas tak nie idzie, że można swie gadać. - No i rzeczywiście już więcej w delegacją nie pojechałem. Akurat w Urzędzie Zxiemskim zwolniło się miejsce bo aresztowali buchaltera i ja poszedłem na jego miejsce. Tam kupa papierów. Roboty na pół roku, żeby to wszystko uporządkować. te same piądze <sup>eni</sup> będziesz miał, tylko Delegacji nie będziesz miał - powiedział mi na odchodnym kierownik - to tu przeżyjesz a tam jak będziesz to za pare dni będziesz na ~~bxkax~~ białych niedźwiedziach. - No to podziękowałem mu, bo rzeczywi.cie tak mogło być i już do wojny pracowałem w tym Urzędzie Ziemskim. Tak, że i tacy bolszewicy byli.

Jak wojna wybuchła w 1939 r. to mój brat prowadził roboty melioracyjne na Wołyniu i na wakacje pojechałem do niego na Wołyń. I tam mnie zaskoczyła wojna. To jak wracałem stamtąd, z pociągu trzeba było uciekać, do domu to ~~z~~ front stał już na Narwi pod Wizną i po dwóch dniach policja przybiegła z rozkazem, żeby wszyscy mężczyźni ewakuowali się na ~~wxóó~~ wschód. Ojca ~~wte~~ dy w domu już nie było, bo całe warszatyty ewakuowali i ojciec

wyjechał na wileńszczyznę, no a brat był w Krzemieńcu na Wołyniu tak, że w domu to była tylko mama i siostra. To ty jedź do ojca, pod Mołodoeczno - powiedziała do mnie mama - a jak będzie trudno tam się dostać to jedź do brata na Wołyń. No i ja pojechałem. Jako, że nie było tam dobrego dojazdu więc ostatecznie zdecydowałem się jechać na Wołyń.

Pamiętam pociąg stał całą noc pod Równem. Rano wysiadamy (pociąg jechał tylko po dwie-trzy godziny i resztę czasu stał bo przepuszczaliśmy transporty wojskowe a pod Równem to staliśmy półtorej doby) i patrzę, że Żydzi stoją w grupkach i coś szepczą ze sobą. Podszedłem do nich i pytam się: Co się stało? Co tutaj tak....? - Bolszewicy wkroczyli - odpowiedział jeden z nich. Było to 17 września. Pociągi już dalej nie pójdą bo zwracają wszystkich. Do Równego było parę kilometrów to ja myślałem sobie: Dojdę piechoto i stamtąd może jakoś się przedostanę. Pamiętam pierwszego bolszewika, którego zobaczyłem. Stał na moście na Horyniu. Szedłem torem kolejowym i patrzę: Stoi. Dokładnie tak jak opisywali: zarośnięty, brudny, mundur powydzierany na ramionach, w butach podszwa odstawa i palec wyłazi, karabin na sznurku. Podszedłem tak na 50 m do niego i zobaczyłem, że to ruskim żołnierz: Och, o Jezu, jak podejść do niego o zastrzeli. Przecież to makabra popatrzeć na niego. Wróciłem się i poszedłem do wsi. Na drugi brzeg przewieźli mnie łódką.

Idę spowrotem i spotykam jaczejki ukraińskie z ruskimi karabinami. Już oni rej wodzą. Pamiętam jechał rowerem kolejarz. Zatrzymali go jakieś 100 m ode mnie. Coś tam gadają i w końcu zabrali mu rower. On coś próbował tłumaczyć, oni pokazują mu ręką. Wreszcie odszedł parę kroków a Ukrainiec trach go z tyłu z karabinu. Wrzucili do rowu i piaskiem tylko głowę posy-

pali.

Potem spotkałem furmankę z chorągiewką czerwonego krzyża. Jechało nią 4-ech czy 5-ciu wojskowych i ~~zaxx~~ lekarz a białym fartuchu, ale już bez dystynkcji. Jechali w kierunku na Brześć. Ja byłem ubrany w mundur gimnazjalny, czapka okrągła z niebieskim lampasikiem. Spodnie też miały taki sam lampasik. Sami mnie zatrzymali: Co na piechotę idziesz chłopcze? Siadaj to cie podwieziemy. Dokąd?. - Do Białegostoku. - Aaa, no to Bześcia razm jakoś sie dopchniemy. Jechaliśmy właśnie prez mały lasek gdy doktor powiedział: No, ale tę broń to trzeba będzie schować, bo jak bolszewicy znajdą to będzie niedobrze. - Skręciliśmy więc w głąb lasu jakieś kilkaset metrów i na jakieś polanie ta broń została ukryta w wykopanym dole, który zaznaczono na mapie. Do ziemi poszły karabiny i pistole<sup>le</sup>ty. I pojechaliśmy dalej. Przed dużą wsią zatrzymuje nas jacejka ukraińska: Co macie? Co wieziecie? (nasza furmanka była zaprzęzona w parę dobrych żołnierskich koni i pełna była medykamentów w workach - lekarstwa, opatrunki, bandaże)\* Skąd? - Jedziemy z oddziału na Białystok. Tma nie puszczają i każą wszystkim jechać do domu - tłumaczymy. - A broń? - Nie mamy - odpowiedział lekarz. - A jakie macie dystynkcje (wszyscy mieli je pozrywane i udawali szeregowców) - a drugi podszed do fury i znowu pyta sie: A broni nie macie? - Nie nie mamy, to same tylko lekarstwa. - Wtedy ten zaczął myszkować po furze. Wsadzę rękę tu i tam i wreszcie i wyciąga pistolet (miał go pewnie już wcześniej przygotowanego, bo to nie był nasz). A to co? - pyta się zadowolony i zaczyna nas przeklinać: A wy tacy nie tacy. Pod stieniu! (a ja zauważyłem już- że to nasze konie tak się im spodobały). Ustawili nas pod ścianą takiego dużego domu. na przeciw nas stanęło może ze 6-ciu i repetują karabiny. To już koniec - myślę

sobie. Trzeba trafu, że w tym momencie nadjechał ruski łażnik i widząc, że tu stoją żołnierze zatrzymał się. To było przecież obok szosy. Wyskoczył jakiś lejtenant i pyta się tego Ukraińca: Co tutaj jest? - a nasz lekarz znał rosyjski i zaczyna mówić po rosyjsku: Zatrzymali nas. Nie mieliśmy żadnej broni więc jeden z nich podrzucił nam, bo mu się konie spodobały nasze i chcą nas rozwalić, żeby te konie mieć. - Ten oficer podszed do Ukraińca i jak nie zacznie mu pod nosem pięścią wymachiwać. Sadties na wóz i odjeżdżać - powiedział do nas a tamtemu dalej pęproruje. My odjedziemy a oni rowerami nas dogonio - zauważył lekarz. - Nie martwcie się, już oni was nie dogonio - odpowiedział oficer. No to my na wóz, baty koniom i gdzie tylko pierwsza dróżka w bok, to my z szosy i już dalej lasem. Przejechaliśmy tak z kilkanaście kilometrów. W końcu zatrzymaliśmy się na kolonii na polanie. Mieszkaliśmy tam Polacy. Zajechali.my do nich i mówimy: Zabierzcie te konie, bo Ukraińcy na pewno nam je zabioro. Po co nam to wszystko. My piechoto pójdziemy. - No i dalej poszliśmy już na piechotę szosą. Po drodze jakiś oddział sowiecki zagarnął nas do obozu. Było to po prostu pole otoczone przez czołgi o wojsko, a żołnierze siedzieli tam pod gołym niebem. Każdego wypytywali skąd jest, jak się nazywa, stopień. kazali pokazywać ręce i szeregowców puszczali, natomiast resztę przygotowywali do wysłania transportem do obozu w Rosji. Dlaczego ciebie tu zgar-neli?- dziwił się lekgarz, że i mnie tu trzymają. Poszed do wartownika i kazał zaprowadzić się do komendanta. Po kilku godzinach zawołali mnie (a jak jeszcze nas tylko zatrzymali to legitymowali żołnierzy wypytując ich z jakiego są oddziału. A ty - spytał się mnie Ruski. - Uczeń - odpowiedziałem. - Lot-czik - ~~nie~~ stwierdził Ruski - a nie uczeń. Łżecie - i tak

zabrali mnie do obozu razem z żołnierzami), dali zaświadczenie i wypuścili mnie. (żadnego ogrodzenia w obozie tym nie było. komendant mieszkał w takiej chatce z boku. To było na jakiejś kolonii). Tak, że byłem tam tylko jedną noc.

Z jedzeniem to było różnie. Niez<sup>r</sup>az to nie jadłem ze trzy dni. A to jakiegoś ogórka zjadłem, a to marchew się wyciągnęło. Ukraińcy to strasznie wrogo byli do nas nastawieni. Jak chciałem chleba kupić to nie ma i koniec. Pieniędzy nie chcieli, bo bez wartości były. Pamiętam na jedną kolonię zaszliśmy i chciałem kupić kawałeczek chleba. Czuję, że dopiero się piecze albo tylko co był wypiek, bo człowiek przecież czuje, że jest świeży chleb. Wyszła Ukrainka. trudno było się z nią dogadać, ale ona znała polski. Mówi, że nie ma. - Przecież czuję. Chociaż kawałeczek. - Wychodzi taki drabisko: Uchadzi stąd ty... Palak. Tobie chleba? - Wtedy ta kobieta zaczęła mówić: Słuchaj, może mu dać. Młody chłopak? - No to daj mu kawałek. - Ukroiła dwie kromki i wyszedłem stamtąd. U Polaków to już można było dostać. Chyba że dwie czy trzy noce nocowaliśmy na takiej kolonii u Polaków. Ostrzegali nas wiele razy, żeby nie wchodzić do ukraińskich wiosek bo zabijają nas. Co z nami będzie? Nie wiadomo jeszcze - obawiali się Polacy. Ci okoliczni Ukraińcy to byli strasznie mściwi i za co?.

No i tak wróciłem do domu. Brat wrócił dopiero po 4-ech czy 5-ciu miesiącach. Chciał dostać się przez Zaleszczyki do Rumunii, ale tam nie wyszło bo już obstawione było, więc zawrócił. Ojciec też wrócił i znowu w warształach pracował. Potem ja też pracowałem w tych zakładach kolejowych w Łapach.

Z Jankiem Skowrońskim to uczyłem się i w szkole powszechnej i w gimnazjum mechanicznym. To był dobry kolega. Razem też pracowaliśmy w zakładach kolejowych. Poszedłem tam pra-

cować jak Niemcy tu przyszli w 41-ym. Chyba po roku zapisałem się do ZWZ. Przez cały okres okupacji robiliśmy kolportaż prasy, ~~w~~ zbieraliśmy broń, różne materiały się przynosiło, piasek sypaliśmy na panewki wagonów, tak, że po kilkudziesięciu kiloetrach był już niesprawny.

Któregoś razu Janek przyniósł mi część od zamka karabinu maszynowego (nie wiem czy on był wtedy w organizacji, wydaje mi się raczej, że był w NSZ-cie) do naprawy. Znałem się na broni bo przechodziłem już konspiracyjne szkolenie wojskowe. Na Ossech mieszkał taki plut. Raciborski i tam u niego były co drugi-trzeci dzień zbiórki. Uczył nas jak rozebrać karabin, złożyć i jak usuwać usterki. Musztry trochę mieliśmy też., Ja pracowałem w parowozowni, która połączona była z wydziałem mechanicznym, bo to w tej samej hali, a tam były obrabiarki, tokarki i heblarki. Narzędziownia była. Jako, że myśmy z jasiem uczyli się w gimnazjum mechanicznym to już znaliśmy obsługę tokarki. I on pracował na tokarce a ~~w~~ ja pracowałem na parowozowni. Byłem w grupie maźnic parowozowych. Panewski doszabrowywaliśmy, dopasowywaliśmy do osi parowozowych. To była dosyć żmudna praca, ale lżejsza już niż gdzie indziej. Do tego jednak trzeba było mieć dryg, ślusarzem być.

No i przyniósł mi tę część zamka, bo nie mógł jej sam naprawić na tokarce. Zgodziłem się to zrobić. Majstrem u nas na parowozowni był Niemiec - von Bryg. Pochodził aż spod francuskiej granicy. Jego tłumaczką była moja koleżanka <sup>Z</sup> ~~z~~ szkoły, tyle że dużo ode mnie młodsza - Rodowicz Banusia. Ten Niemiec był dosyć przyjemny. Nieraz przyjdzie i porozmawia. Niez w rozmowie człowiek wyrwał się z jakimś niepochlebny słowem dla Niemców to pogroził palcem: Ty uważaj, bo to może się źle skończyć - mówił. - To nie ~~w~~ tłumacz tak - mówiłem do

Danki. No i dopasowywałem właśnie w imadle tę część, ale patrząc ten Niemiec wlaź do hali i idzie w moim kierunku. Żeby nie dać nic poznać po sobie powolutku odkręciłem imadło, ta część spadła mi pod nogi i wtedy kopnąłem ją szybko pod warsztat. ~~Spokojnie~~ Spokojnie wyjąłem z szuflady co innego, założyłem do imadła i udaję, że pracuję nad tym. Von Bryg podszedł do mnie, stanął obok i patrzy się na to co robię. Był razem z tłumaczką. Co ja tu robię? - pyta się. - No widzisz przecież. Część od maźnicy muszę dopasować. - A co tu poprzednio było? - To samo było - odpowiem zdziwiony. - - Otwórz szufladę - polecił. Otworzyłem. zaczął tam grzebać ale nic nie znalazł. zajrzał pod warsztat, tam też nic nie znalazł. Pomachał mi palcem i poszedł. No wtedy żeby mnie z tym złapał to już byłby koniec. Tak, że dosyć porządny był.

Dopiero po wojnie dowiedziałem, się, że mój brzygdzista Harasiuk był również dowódcą jakiejś grupy AK w stopniu plutonowego. I ja nie wiedziałem o nim a on o mnie. Taka była konspiracja.

W 42 r. przyjechał do nas na parowozownię niemiecki samochód. Wysiadło z niego trzech żołnierzy niemieckich. Wszyscy rozmawiali po niemiecku. Poszli do dyrektora naszych zakładów i powiedzieli, że przyjechali z frontu wschodniego i potrzebują małą przenośną obrabiarkę. Była ona bardzo wygodna w użyciu, bo jak trzeba było cylinder w lokomotywie naprawić, to wystarczyło tę obrabiarkę podstawić pod lokomotywę i już nie trzeba było ~~głęboko~~ rozbierać całego kotła, żeby wyjąć cylinder i na suwnicy przenieść do warszattku. Taka operacja wymagała zawsze dużo czasu i była pracochłonna, natomiast ta przenośna obrabiarka doskonale upraszczała całą tę operację. Lokomotywę naprawiało się bardzo szybko. Dyrektor zgodził się wydać

tę obrabiarkę i jeszcze dał nas do pomocy Niemcom przy jej załadunku na samochód. Po dwóch czy trzech dniach, ku naszemu zdziwieniu, wszyscy byliśmy wzywani do dyrekcji. Wypytywali nas czy kto znał tych Niemców, czy ktoś coś wie o tym. Skąd oni przyjechali?. Oczywiście zaraz ludzie zorientowali się, że z tymi Niemcami było coś nie tak i po kilku dniach już wszyscy wiedzieli, że to byli przebrani w mundury niemieckie akowcy.

Latem 1944 r., tuż przed nadejściem frontu, przyszedł do mnie do domu łącznik i powiadomił mnie, że mam zabrać miskę, łyżkę, nóż i widelec oraz żelazną porcję na jeden dzień i stawić się na "Bocianach" (to taka dzielnica Łap). Tam będzie koncentracja ~~naszych~~. Dostaniemy broń i uderzymy na tyły Niemców stojących nad Narwią. Obawiałem się, żeby Niemcy nie wykryli tej naszej koncentracji bo przecież mieli pełno punktów obserwacyjnych, a szczególnie jeden najważniejszy na wieży kościoła z której doskonale widzieli cały teren, no a poza tym przecież w mieście też było sporo ich wojska. Jako, że mieszkałem na przedmieściach, miałem do przejścia prawie 3 km. W czasie drogi cały czas tylko myślałem, żeby mnie nie zauważyli. Na szczęście jakoś udało mi się bez przeszkód dotrzeć na miejsce. Zebrało się nas kilkudziesięciu akowców. Po kilku godzinach oczekiwania dowódca zwolnił nas jednak wszystkich do domów. Okazało się, że nasz porucznik pertraktował z sowieckim dowódcą. W zamian za pomoc Sowiecom w uderzeniu na Niemców zażądał pozwolenia na objęcie władzy przez AK na tym terenie. Sowiec musiał być uczciwy bo powiedział, że pomoc chętnie przyjmie ale nic więcej gwarantować nie może. Rozmowy więc przerwano a nas puszczono do domów.

Ja to byłem poruszony tym, że z nimi jeszcze się rozmawia,

Przecież wszyscy wiedzieliśmy już co się stało w Wilnie z naszymi kolegami. Gdyby ten Sowiet był inny człowiek, jakiś enkawudzista, to by powiedział, że na wszystko się zgadza i ilu chłopaków by potem aresztowali. Na szczęście jednak rozmowy zerwano i tak wróciłem do domu.

Niedługo potem ogłoszono pobór do wojska, do "Kościuszkowców". Poszedłem więc do swego dowódcy, do "Dąbka" ( a może to nazwisko prawdziwe? - J.K.) i pytam się go co mam teraz robić, bo przecież dostanę kartę poborową i do wojska trzeba będzie iść. To teraz jeszcze bolszewików wspomagać. Przecież Niemców i tak już szlag trafił. Leżą na cztery łopatki. Teraz to te nas będą męczyć, bo przecież te plakaty: Śmierć bandytom z AK i NSZ - to o czym mówią? A i wtedy do mnie przyszedł Jasio. - Ty Jurek, słuchaj, do wojska będą brać. Trzeba iść do UB albo do milicji. - To słuchaj - odpowiedziałem - ja muszę iść i dowiedzieć się u swego dowódcy. - No ja u swego się poradziłem i powiedział mi, że to będzie dobre. - No i wtedy ja mówię Dąbkowi o co chodzi, że Jasio Skowroński poszedł do UB. Mnie to ~~nie~~ się nie uśmiecha ale do milicji to może i warto by było iść? - No wiesz, myśl nie jest zła - odpowiedział dowódca - lepiej tam iść aniżeli pomagać bolszewikom. - No to ja pójdę do milicji. Jednak zapisze się - powiedziałem. - No jak chcesz. Teraz wolna ręka. Nie mamy żadnych rozkazów co i jak robić. Do lasu nie pójdzie się bo ich tu za wiele jest. - I tak się rozstaliśmy.

Zapisałem się do milicji i przydzielili mnie do Kobylina. Jeszcze spotkałem się z Jankiem i mówię do niego: To jeszcze cholera nie lepiej było do milicji się zapisać tylko do UB? - W milicji to ty głównie zrobisz - odpowiedział - Każe ci iść aresztować, to musisz a ja tu mogę dużo zdziałać.

Nie pamiętam już nazwiska pierwszego komendanta posterunku w Kobylinie. Po nim nastąpił sierż. Rodowicz. Byli ze mną tam Puławski, Jasiński, Laskowski, Kraft, Szulc Stefan (też był z łap, przed wojną należał do Związku Strzeleckiego, już nie pamiętam czy był ze mną u "Kmicica", potem aresztowali go - UB - i rozstrzelali), Krasiejko, Olszewski, Pogorzelski, Dąbrowski. Jego też rozstrzelali, bo lubił coś tak ukraść. Pojechał w olsztyńskie i tam coś wyszabrował. To był przyjemny chłopak. Oczywiście bywało tak, że przychodzi dwóch-trzech ubeków na posterunek i pytają gdzie mieszka taki i taki. To wtedy już koledzy starali się ostrzec takiego jak najprędzej. Ja na tym posterunku byłem sekretarzem. Wszystkie te meldunki prowadziłem. No i tak się umówiliśmy, że jak tylko UB będzie się o kogoś pytać, to zaraz trzeba go ostrzec. zaraz na przeciwko Kobylina, po drugiej stronie rzeczki Ślina był majątek i jak tylko o kogoś pytali to zaraz jeden z nas tam skoczył i ostrzegał, & tak, że gościa zaraz nie było. W ten sposób trochę ludzi uratowaliśmy.

Jak przyjeżdżałem do domu na przepustkę to nieraz spotykałem się z Jankiem, który był w UB w łapach.

Miałem wtedy 18 lat tak, że chodziło się do dziewcząt w Kobylinie. Poznałem tam taką Stasię Korzyńską. Miała ona siostrę, z którą później Pułaski się ożenił. A mnie podobała się jej starsza siostra. Często spotykałem się z nią. Ona miała koleżankę na kolonii koło Kobylina i któregoś razu zaprosiła mnie do niej na jej imieniny (tej koleżanki). Przyjdź wieczorem, to spotkasz faceta z podziemia, to się pogadacie. No i poszedłem tam i spotkałem tego "Kmicica". On z kolei uderzał do tej dziewczyny, która urzędowała te imieniny. Pogadaliśmy więc o tym jak to na posterunku, ja w lesie. No w końcu powie-

działem, że muszę iść, bo komendant nie jest co prawda służbista ale nie ufam mu. Niepewny.

Po kilku dniach dostałem od tej Stasi wiadomość, że na posterunek szykuje się akcja. Niedobrze - pomyślałem - Albo będzie trzeba iść do lasu albo do więzienia, bo jak broń zabioro to przecież aeszują. Po kilkunastu dniach przyszedł rozkaz z Wysokiego Mazowiecka, żeby likwidować posterunek, bo jest koncentracja wszystkich oddziałów milicji. Dowództwo pewnie już coś się dowiedziało. <sup>i</sup> Panie sierżancie - powiedziałem do dowódcy - jest niedobrze. Niech pan lepiej rozpuści wszystkich milicjantów. & Likwidujemy posterunek i za kilka dni niech każdy zgłosi się do Mazowiecka. - Co ty tu mnie będziesz dyktował! - rzucił się do mnie Rodowicz. - To jest tylko moja rada, ja tu przecież nic nie dyktuję - odpowiedziałem - tylko jest niedobrze. kazo przecież koncentracje robić a co z nami będzie to przecież nie wiadomo. Może zrobio jakieś <sup>d</sup> oddziały i będziemy musieli iść przeciwko leśnym a może pojedziemy na białe niedźwiedzie? Tak, że lepiej jest tu od razu zlikwidować ten posterunek i po kilku dniach każdy sam się zgłosi do Mazowiecka albo sie i nie zgłosi. jak będzie chciał. - Nie ma mowy - zdecydował komendant.

Tego samego wieczora - pamiętam - siedzę przy stole i grzebię się w papierach gdy nagle wpada do środka dwóch czy trzech i krzyczą: Ręce do góry! - Popatrzyłem na nich. Wszyscy w mundurach polskich. Co sie wygłupiasz? - mówię do jednego z nich, przekonany, że to uzbeki - zostaw ten swój karabin i pokazam na stojak z bronią. Mój karabin stał obok mnie. jak ten nie wrza. nie na mnie i lufę wsadza mi pod nos. Przyjrzałem się lepiej temu a to Michalak z mojej ~~klasy~~ szkoły. Z jego bratem uczyłem się w jednej klasie. Był młodszy ode mnie. Wiedziałem,

że on w lesie jeszt i wtedy zrozumiałem, że to coś nie tak. Położyłem wszystko. Na podłogę! - krzyknął - Ręce w bok!. Obmacali i wychodzić. Broń zabrali i wtedy jeden z nas powiedział: To nas zabieracie, broń zabieracie a zostaje jeszcze żywność. - Jaka żywność? - Pan sierżant (akurat nie było go na posterunku, gdzieś ulotnił się) ma przecież odchówek. Ładnego świniaka. - No to wzięli drugą furmankę i zabrali tego świniaka i pojechaliśmy do lasu. Kto chce to do domu a kto chce to to zostaje. Znowu znalazłem się w niewyraźnej sytuacji. No Jurek, jak ty? - pytają się mnie koldzy. Wszyscy patrzą na mnie. - No co ja? Tu każdy za siebie odpowiada. Co ty sie na mnie sie patrzysz? - odpowiedziałem. - My tak zrobimy jak ty zrobisz. Cholera, mało, że za siebie człowiek człowiek odpowiada to teraz jeszcze i za innych muszę - myślę sobie i zaczynam kombinowa- co tu wybrać: jak pójdę do domu to jutro, pojutrze na pewno przyleco po mnie, a wtedy gdzie ja sie ulotnie?. Zostaję - powiedziałem. - No to i my zostajemy - oświadczyli pozostali.

Przysięgi po raz drugi nie składali. Dostałem pseudonim "Alfred" (w AK miałem "Eryk"). Taki obrał mi dowódca. Niedługo potem zginął Sobieski "Góral". Po marszu zaszliśmy do jakiejś wsi na kwatery. To było koło Tykocina. Było właśnie czyszczenie broni. Każdy powyciągał co miał i któryś z kolegów nie rozładował ~~brzozy~~ pistoletu i nacisnął na spust. "Góral", który siedział w drugim końcu pokoju dostał w brzuch. To był maj 45 r. Zawieźli go jeszcze do lekarza do Tykocina. Zoperowali go ale to już niestety nic mu nie pomogło. Zmarł. taki młody, przyjemny chłopak. Szkoda.

Zaraz potem jak wstąpiliśmy do oddziału zaszliśmy do wsi Łazy czy Pniewo. Już nie pamiętam dokładnie. To było gdzieś

W okolicach Tykocina

w okolicach Tykocina. Zaszli.my do gospodarza, u którego akurat było kilku chłopów z miejscowej siatki. I tam usłyszałem rozmowę "Kmicica" z tymi gospodarzami. Nie, trzeba temu, cholera, skonfiskować to - usłyszałem i nadstawiłem uszu. Okazało się, że chodziło o młynarza, który miał jakąś mąkę, ma jej duże zapasy. Słyszę, że oni mają do niego jakąś złość. Zabrać mu to wszystko - mówi jeden z nich. "Kmicic" zaczął im perorować, że przecież jeżeli coś tamten źle robi to trzeba na to mieć dowody, ale oni zaraz zaczęli krzyczeć i w końcu "Kmicic" powiedział: Dobrze. Zarekwirujemy mu to. - No i wiem, że kogoś tam wysłali na konfiskatę tej mąki. To już mnie ubodło, że nie powinno tak być.

Po kilku dniach była podobna sprawa. Do oddziału zgłosił się "Rudy", st.sierz. milicji z Choroszcy. nie pamiętam już w jakiej miejscowości to było. Pamiętam tylko jego rozmowę z "Kmicicem": Tego cholere trzeba zatłuc. Kula w łeb, bo donosi. I podaje nazwiska trzech ludzi. Gdy zaczął podawać dowody na to okazało się, że są jakieś wątpliwe. Tak mi przynajmniej się wydawało. Dobrze - powiedział "Kmicic" - Tych dwóch rozstrzelać, tamtemu dupe zbić. - Chodziło o konfidentów w Choroszcy a ten milicjant x uciekł z posterunku w Choroszcy. Też mnie to ubodło, że tak bez sądu skazuje się ludzi na śmierć. najpierw przecież powinien taki konfident dostać raz i drugi ostrzeżenie. Sąd jakiś i dopiero wtedy kula w łeb. A tu od razu z miejsca zabić. No i paru dniach razem z jeszcze jakimś oddziałem z NSZ-tu przeprawiliśmy się przez Narew gdzieś w pobliżu Choroszcy, potem szliśmy brzegiem i na szosę wyszliśmy. Do miasta weszliśmy w nocy. Było nas ze 20-tu. Od razu poszli.my pod posterunek milicji. Pamiętam, że ktoś coś krzyknął raz i drugi i zaraz x rozległa się salwa i zaczęła się walka. Z góry, z posterunku

odpowiadał na nasze strzały karabin maszynowy. Dowódca krzyknął Ognia! - to do tego okna strzeliliśmy kilka razy. Po chwili ucichło to i kilku naszych weszło do środka. Tam m.in. był z nimi "Gołąb". Wszyscy są? - Nie. - Kogo brakuje? - Komendanta, jest na górze? - odpowiedzieli milicjanci. To właśnie on strzelał. Wtedy "Gołąb" wziął jednego milicjanta, pchnął przed siebie na schody i powiedział: Ty idź i krzycz, że idzie swój, żeby złożył bro, i nic mu nie będzie. Weszli na schody. "Gołąb" za milicjantem a tu raptem przez drzwi na górze rozległ się strzał i milicjant trafiony stoczył się po schodach w dół a "Gołąb" czym prędzej przeskoczył jego ciało i przez barierkę zeskoczył w dół. Wycofaliśmy się z tego posterunku. Ostrzeliwaliśmy się. Potem to on nawet i już nie odpowiadał na te nasze strzały i tak już to zostawiliśmy. Walka trwała tak z godzinę. Mnie wtedy jeszcze razem z dwoma kolegami postawili na przeciwko wejścia do posterunku za drogą. Mieliśmy osłaniać akcję. Padł rozkaz: Zbiórka! Wtedy odmaszerowaliśmy, by po chwili zatrzymać się przy jakich zabudowaniach. Kilku poszło w ich kierunku, otoczyli je i zaraz padł strzał. Od środka poleciała szyba. To jeden chłopak, nie pamiętam jego pseudonimu, był taki strasznie narwany i to on wykonywał wyrok na tym konfidentie właśnie z tej listy. Tamtych dwóch pozostałych nie było. Potem już po wszystkim, dowiedziałem się, że ten konfident po strzale przewrócił się zakrwawiony, ale żył. Okazało się, że kula przeszła tylko po wierzchu głowy zdzierając skórę, tyle że krew poszła, tak, że gość przeżył. Może rzeczywiście nie był winien.

Pamiętam, że jak pracowałem na posterunku to partyzanci działający w okolicach Kobylina też wykonywali wyroki na konfidentach. Rano dowiadujemy się, że była partyzantka w nocy

we wsi i że jednego tak strasznie zbili, że nie może chodzić. Pewnie był konfident bo za co inaczej by go tak zbili. Wrębali mu na goły tyłek skórą i dali ostrzeżenie: jak nie przestaniesz to dostaniesz w łeb. I jeżeli jeszcze raz, jak tu przyjdą, zastaną go tu to też dostanie kulę. musi się stąd wynieść. - jak potem dowiedziałem się to już był drugi raz i gość wyjechał. Przestraszył się. A drugi nie wyjechał. Mieszkał koło tej Stasi Dąbrowskiej. Dalej donosił i donosił. Dostał serię z automatu. Chyba ze 4-ry czy z 5 pocisków. Otoczyli dom, ~~weszli do środka~~ weszli do środka i wezwali go do siebie. zaczęli z nim rozmawiać to on odwrócił się i chciał im ucieść i wtedy go rąbneli. To ja wtedy byłem przy sekcji zwłok bo przyjechali z Mazowiecka lekarz sądowy i jakich dwóch oficerów i mnie kazali protokół podpisać. Przewracali te zwłoki. Dosyć nieprzyjemny widok.

Tacy konfidenti nie przychodzili oczywiście do nas, tylko i donosili na UB jeździli po jarmarkach, do Sokół. Jak przyjeżdż kilku ubeków i pytają się o konkretne nazwiska to skąd oni je znają? Ktoś musiał im donieść. Słabe tylko mieli rozpoznanie bo u nas na posterunku wszyscy to albo mieli kontakt z podziemiem albo byli w podziemiu. W zasadzie mieliśmy do siebie wzajemnie zaufanie. jedynie komendantowi temu poprzedniemu i następnemu nie ufaliśmy, a tak to co dzień gadało się na bolszewików ile tylko wlaźło. Wszyscy byliśmy z łap. Jedynie chyba Zaniewski był z sąsiedniej wsi, koło Kobyłina i Pogorzelski, brat Urszuli Pogorzelskiej był z Kobyłina. Zaniewski to przed wojną był notowany jako złodziej. Też podejrzanie zachowywał się. Temu jednemu nie ufaliśmy. Zawsze z nim ostrożny byłem.,

Pamiętam z nim taki nieprzyjemny przypadek. Był młody facet. Miał się żenić. We wsi jednak zginęła krowa i padło na

niego. ~~xxxxxxxx~~ Jeszcze poprzedni komendant wysłał tego Zaniewskiego i kazał mu przyprowadzić tego chłopaka. Nie wiem czy on ukradł czy nie ale ten wziął go do osobnego pomieszczenia. Słyszeliśmy krzyki, wrzaski. Pewnie tłukł go niemożliwie. Zaniewski <sup>S</sup> ~~xxxxxxxx~~ mówił, że na pewno on ukradł, a ten zapierał się, że nie. Zamknęli go w takim chlewku i rano wpa-  
da kolega i mówi: Cholera, wisi - no to komendant i jeszcze jeden kolega pobiegli tam i odcięli go. Akurat w Kobylinie stało wojsko sowieckie i ~~sz~~ szykowało się do uderzenia w styczniu 45 r. mieli więc lekarza. zaraz go więc sprowadziliśmy. Już za późno - powiedział - żebyście zaraz po tym jak odcięliście go zrobili mu sztuczne oddychanie ~~o~~ i język żebyście mu wyciągnęli to jeszcze można było go odratować. - A tak chyba udusił się językiem. Pomyślałem sobie wtedy: Miał chłopak się żenić i takie oskarżenie. Mógł chłopak załamać się i dlatego to zrobił a mógł i być winien. Ten komendant pierwszy nazywał się Jermołowicz, ~~o~~ chyba Bronisław i też pochodził z Łap. Nie wiem co się z nim stało. Co do tego ~~o~~ bicia, to nawet jeżeli komuś to się nie podobało, to lepiej było nie wtrącać się do tego co robi drugi milicjant na rozkaz komendanta. Takie były czasy. każdy komendant był przecież samodzielny.

Innym razem pamiętam przychodzi do nas gospodarz i mówi, że konie ~~o~~ mu ukradli wieczorem i wie gdzie są. Rusczy mają je i chcą je sprzedać - mówi. Pijani siedzą w tej wsi (gdzieś koło Kobylina). - No to trzeba jechać i zabrać te konie - mówię. Tam i bimbrownia jest - dodaje chłop - wódkę pędzą. Jka żeś taki kozak - mówi do mnie Jarmołowicz - to jedź i weź ich. - A to przecież noc. - Masz 4 milicjantów i jedź. Są pod twoją komendą. Miał jechać "Waligóra" jasiński, Szulc i jesz-

cze jakiś. No już ja nie mogę się wycofać. Trudno. Jedziemy. Poszliśmy na piechotę. zaprowadził nas gospodarz, ten co ukradłki mu te konie. Gdy podeszliśmy do wskazanego gospodarstwa usłyszeliśmy ruskie śpiewy. Pewnie jakiś ruski oddział tam stoi - myślę sobie. Wchodzimy do sieni. Z prawej strony otwarte drzwi, przez które widzimy pracującą na całego bimbrownię. Buł, buł, buł, buł. jakiś gospodarz tego dogląda, tej aparatury, a po drugiej stronie też otwarte drzwi i widzimy, że przy stole siedzi chyba ze 20-tu Ruskich. Flachy na stole, żłopio to samogone i na wesoło. Jasio "Waligóra" od razu trach w ten bak z karabinu. Trysnęło to na gospodarza. Ten wrzasku narobił, bo to gorące cholera, a ja wchodzę do drugiego pokoju. za mną Jasio "Waligóra" i chyba Szulc. Co u was tu, bimbrownia - mówię. A jeden z Ruskich do mnie mówił: A ty job twoju mać - i za pistolet. Dowódca podbił mu rękę w ostatniej chwili. Mknął strzał a Jasio "Waligóra" trrach załadował zamk. Szulc też i dwa karabiny mierzą w Ruskich. Wtedy ich dowódca się zerwał i coś zaczął wrzeszczeć do swoich, żeby się uspokoili. Mówimy mu co się stało. A no to jutro załatwimy to - mówi dowódca a ci jego pijani ludzi aż rwą się do nas, a ci trzeźwiejsi trzymają ich. byłem już w strachu, że nas rozniosą. Ze 20-tu chłopów przecież i to w większości pijane. Uchadzicie stą, jutro będę na posterunku - powiedział do nas komendant. I rzeczywi.cie przyszedł następnego dnia. Okazało się, że to był oddział NKWD. Mieli zielone ołoki - pograniczniki. Przy tych oddziałach wysyłali ich jako żandarmerię. To ten ich dowódca przyjeżdżał kilka razy. Ustalali z Jarmołowiczem, ustalali, że będzie rozprawa sądowa i za kradzież i pędzenie bimbru pójdą pod ścianę. Ich dowódca podpisał nawet taki protokół, że będzie sąd polowy i będą rozstrzelani. Następnego

dnia pojechałem tam z jeszcze jednym milicjantem. Orani już nie było. Zwinęli się i wyjechali stamtąd. Nikt o tym nie wiedział. takie sprawy załatwialiśmy tutaj między sobą.

Po dwóch miesiącach "Kmicic" rozpuścił oddział na urlop. Po dwóch tygodniach miałem nawiązać kontakt przez tą Stasię. Przeszedłem do domu i zaraz po tym zachorowałem. zaczęły mi puchnąć ręce i nogi w kołanach. Tu spotkałem Jasia. Mówiłem mu, że muszę stąd uciekać, bo już przychodzili do mieszkania i pytali się o mnie. Bałem się, że mnie chapną. No i gdy przyszła Stasia to powiedziałem jej, że jestem chory. Nie miałem zresztą ochoty by wracać do oddziału chociażby ze względu na ~~niektóre~~ fakty, które opowiedziałem już, a dotyczące łatwości z jaką dowódca szafował wyrokami śmierci.

(Gdy oddział "Kmicica" rozbroił posterunek w Kobylinie to liczył 10-12 ludzi. Był tam ten Michalski, który podobno potem został rozstrzelany za kradzież ~~z~~ przez swoich. Tak opowiadał mi pan Dzielnik).

Wiedziałem więc, że nie mogę być długo w domu i po wyleczeniu się wyjechałem do Szepietowa na budowę.

Nie pamiętam już w którym to roku było. Pracowałem w melioracji i w łomżyńskim robiłem wywiad terenowy we wsi Józefin czy Józefowo do palnu inwestycji melioracyjnych. Miałem mapę (tylko ruskie mieliśmy). No i w tej wsi zaszedłem do gospodarza na nocleg. Ledwo wszedłem zaraz za mną wpadło kilku cywilów: Aaa ty ubeku taki nie taki. - Wzięli tą mapę. Zobaczyli że Ruska i do mnie, że ja jestem wywiadowco ubeckim. Tłumaczy więc im, że to nie prawda. Aaa ty taki nie taki - odezwał się ich dowódca "Dzik" - Bra- go! - rzucił rozkaz. Rozciągnęli mnie na ławie i zaczęli tłuc kijem. Ja wrzeszcze na cały głos: Dajcie spokój. Co wy robicie!!! - Akurat przysunął się do mnie

tak, że znalazł się w zasięgu mojej nogi. Z bólu tak go kopnąłem, że poleciał na okno. odbił się od niego i chciał mnie zdzielić pistoletem w głowę, ale zasłoniłem się ręką. Trafił mnie w kostkę i strzaskał mi ją. Tłumaczę mu cały czas że nie jestem ubekiem a jednocześnie sam się boję czy to przypadkiem wła.nie nie ubecy. Ty tu chodzisz, ty myszkujesz - "Dzik" znowu do mnie - Wyprowadzić - rozkazał. Pewnie, cholera wżemo i rozwałó - pomyślałem. -Swojego zabijecie. No jak tak można - rzuciłem się rozpaczliwie - Słuchajcie, to będzie wielki błąd. Moim kolegą jest "Gołąb" (słyszałem, że chodzi gdzie. w tym powiecie). Przecież powinniście sprawdzić, kto ja jestem. Zetknijcie się z nim i on wam wytłumaczy kto ja jestem - tłumaczyłem tym ludziom. -Wyprowadzić - powtórzył dowódca. Oni wszyscy byli na cyku.

Zamknęli mnie w jakiejś piwnicy. No to już nie będzie chyba tak źle - pomyślałem sobie. I rzeczywiście. Rano wyciągają mnie z tej piwnicy. Oddają wszystko i przepraszają. Mówią, że rzeczywi.cie sprawdząli i że nie jestem ubekiem. - Była pomyłka. No trudno. Wybacz. - Cóż ja miałem mówić. Niech was cholera weźmie.

Wróciłem do biura w Łomży i opowiedziałem jak to było, tylko poprosiłem, żeby o tym nikomu nie opowiadali, bo kłopoty wtedy będą miał nie tylko ja. To chyba z tydzień, czasu chodziłem z zabandażowaną ręką. To było tak na wiosnę 1947 roku.

Jak byłem w oddziale u "Kmicica" to pamiętam, że mieliśmy koncentrację z jakimś oddziałem akowskim "Solidnego". Planowaliśmy jakąś akcję. Potem jeszcze w 48 r. widywałem w Białymstoku tego "Solidnego". Pamiętam, że w oddziale był taki "Poznaniak".

Przed akcją w Choroszoczy byliśmy na akcji w Trzcianem. Za-

jęliśmy całe miasteczko. Nie pamiętam czy to nie wtedy była ta koncentracja, co to spotkaliśmy się z jakimś jeszcze oddziałem AK. Na akcji było nas kilkunastu. Po jednej salwie milicjanci poddali się. Z Urzędu Gminy zabraliśmy wszystkie dokumenty. Poniszczyliśmy spisy podatkowe, spisy obowiązkowych dostaw. Część tych dokumentów zabraliśmy ze sobą. Nic nie paliliśmy. <sup>by</sup> C~~x~~ba jeden milicjant był ranny.

Pamiętam, że jak była ta akcja na Choroszoz to po niej skryliśmy się na takiej wyspie na Narwi. Zimno jeszcze wtedy było cholera a tu ~~xxx~~ zakaz palenia ognisk. Zaraz nad narwią pokazały się samoloty. Widocznie szukali nas. (maja to nie wiedzieliśmy co się stało. Tam gdzie kwaterowali Ruskie to rakiety szły w górę, strzały. Chyba nalot jakiś. Pewnie wojna się zaczęła. Trzecia - pomyślałem sobie i moi koledzy tak samo, bo wszyscy naraz zaczęliśmy się cieszyć. Rano dowiadujemy się, że to już koniec wojny. A niech to diabli. Teraz już wszystko przepadło. Już wszyscy tak się nastawili na tę III wojnę, że nareszcie będziemy oddychać wolnością, a tu masz.

Pamiętam, że zabraliśmy we wsi Króle Ruskim bydło, które pędzili do Rosji z Niemiec. Zabierali je też okolicznej ludności ~~ności~~. Było nas kilkunastu. Wpadliśmy tam. Całego stada pilnowało dwóch czy trzech Ruskich. Zatrzymali się na kolonii przy szosie. Gdy nadeszliśmy to ci uciekli do domu i przez okno zaczęli strzelać. Otoczyliśmy więc to całe gospodarstwo. Podwórze było ~~xxx~~ duże i pełne bydła. uciekajcie stąd bandyty! - zaczęli krzyczeć do nas Ruscy - Nasze wojsko już jest powiadomione. Lada moment przybędą. W - i zaczęli się śmiać. Wtedy "Kmicic" kazał "Poznaniakowi" rzucić granat przez stodołę na podwórko a bramę w tym czasie to myśmy już rozwalili. Wtedy to bydło ruszyło na szosę i w pole. Po kilku minutach





ale i on dostał kilka odłamków w brzuch. Przewieźli go ranne-  
go do szpitala więziennego w Białymstoku. Zanim zmarł to jesz-  
cze wydał kilka osób. Podobno torturowali go i zameczyli.

Na takiego specjalnie mściwego to nie wyglądał. Raz jednak,  
gdy w 41 r. przyszli Niemcy to <sup>że</sup> myśmy przemówili się. Niemcy  
zaraz odpędzili Żydów, żeby rozwalili jakiś pomnik na rynku.  
No i zaraz po tym żeśmy się spotkali i Janek pochwalił się,  
że tych Żydów tam naganiał. Podpowiadał Niemcom, gdzie ich wy-  
bierać. To ty durniu, psiakrew, myślisz, że Niemiec lepszy od  
tego co poszedł na wschód. Taka sama cholera jak i tanto. Taki  
sam wróg a może i jeszcze gorszy. - No i wtedy się z nim prze-  
mówiliśmy. To był narodowiec i antysemita. Nie lubił Żydów.  
Jego ojciec pracował u nas na kolei. Był rzemieślnikiem. Jego  
matka była w domu. Prowadziła gospodarstwo. Miał jedną siostrę.  
To byli spokojni ludzie. W czasie wojny to już chyba do nich  
nie chodziłem, ale z Jasiem to często spotykałem się na war-  
sztatach w zakładach kolejowych. Tam była <sup>ś</sup> przy wieży ciśnień  
parowozownia pierwsza. W części hali stały obrabki. To był dział mechaniczny. No i mię-  
dzy tym działem a moim była duża ubikacja do której żeśmy na  
papierosy chodzili. Niemcy rzadko tu ~~xxxxxxx~~ zaglądali to  
przychodziło się tu zapalić, pogadać.

Wracając jeszcze do oddziału to najczęściej maszerowaliśmy.  
Furmankami bardzożadko żeśmy się poruszali. Mucowaliśmy po do-  
mach, we wsiach. Ludzie odnosili się do nas życzliwie. Czasami  
zdarzały się jakieś ... . Pamiętam raz zajechaliśmy na kolonię.  
Głodni byliśmy jak diabli. Było nas 12-tu czy 14-tu. Mieszkało  
w tym domu, gdzie nas skierowali, dwoje starszych ludzi. Nic  
nie mamy, nic nie mamy - usłyszeliśmy odpowiedź na naszą proś-  
bę, by dali nam jakąś kolację. "Knicio" kazał nam zajrzeć do  
piwnicy a tam masła całe ..., słonina, kiełbasa, różności.

Wszystkiego pełno. Połowę zabrać - wydał rozkaz "Kmicic" (człowiek dawno już masłem chleba nie smarował to każdy z nas czuł się jak w siódmym niebie jak jadł chleb z masłem) no a ci dwójce w krzyk, że grabią. No mnie też to się nie podobało, bo "Kmicic" powinien zapłacić, bo miał pieniądze. Czy zapłacił za to w końcu to nie wiem. Przykro mi było. Takie wypadki były jednak rzadkie. Najczęściej jak przyjechaliśmy gdzieś, to już wszystko było przygotowane.

Któregoś razu pamiętam staliśmy w Zajkach, niedaleko Trzcianego. Wysłał mnie wtedy z jednym jeszcze do jakiejś wsi. Gospodarz miał już zabitego świniaka, założył konia, załadował świniaka na wóz i przywiózł go z nami do Zajek. Tutaj poćwiartowali tego świniaka i przygotowali nam kolację, tak, że najczęściej to wszystko było umówione. Raz jeden byłem na takim patrolu. Z jedzeniem kłopotów w zasadzie też nie było. Z wsiami też jakoś dawaliśmy sobie radę. Myliśmy się zawsze, ~~xxxxxx~~ chociaż czasami zimno było, no ale trzeba było jakoś z tym walczyć. Do kościoła też czasami zachodziliśmy. Święta Wielkiej nocy to w Kobylinie spędziliśmy. Pamiętam, że moja mama tam przyjechała, bo wiedziała, że tam będę.

Do kościoła poszliśmy tylko z krótką bronią. Tłum ludzi był. W mundurach wszyscy byliśmy. Jakiś chłopak w pewnym momencie pociągnął mnie za rękaw. Odwróciłem się a on pokazuje mi głowę na kieszeń. Patrzę, a z niej granat wystaje. To też było nierozsądne. ~~xxxx~~ Tak samo i pójście do Kobylina, gdzie nas wszyscy znali było nierozsądne. Człowiek młody był. Miało się w świadomości, że to może ostatni dzień życia. Człowiek spał i budził się z tym i myślał, że nie wiadomo, czy tam przypadkiem już za węglem zasadzka nie stoi. Oczywiście człowiek starał się nie myśleć o tym, bo gdyby cały czas tylko o tym myślał, to no-

~~xx~~ gę by musiał dać stamtąd, no ale wiedział, że jak przyjedzie do domu to znowu będzie nie ~~wiadomo~~ wiadomo jak, też niebezpiecz-  
nie.

Nie przypominam sobie, żeby w oddziale były jakieś proble-  
my z dyscypliną, żeby ktoś poszedł <sup>Z</sup>gdzieś na własną rękę i coś  
zagarnął czy bałaganu narobił. Nie, czegoś takiego nie było.  
~~W~~ Przemarsze odbywały się ~~xx~~ tylko w nocy, tak, że na kwatery  
przychodziliśmy nad~~x~~ ranem i spaliśmy do południa, gdzieś tak  
9-ta, 10-ta, gdy było całkiem widno. Oczywiście było ostrzeże-  
nie, żeby niepotrzebnie nie pętać się po podwórku, żeby sie-  
dzie- na miejscu, żeby nie pokazywać się. Pilnowali tego. War-  
ty chyba nie były wystawiane. To już gospodarze sami pilnowali  
i obserwowali, gdzie co się dzieje. Wszędzie mieli swoich, któ-  
rzy obserwowali gdzie co się dzieje. Przechodziliśmy przecież  
nieraz po takich drózkach, a nieraz i przez wieś i zupełnie  
bezpiecznie, bo było pewne, że tam nikogo nie ma. Ja przecież,  
jak byłem w milicji to nieraz przyjeżdżałem do łap, do domu i  
później wracałem to przecież piechotą szedłem, bo komunikacji  
nie było. Nieraz gdy szedłem przez wieś to słyszałem strzały.  
Wiedziałem, kto to strzela, ale człowiek udaje, że nie słyszy  
i idzie dalej. Życie więc nie było takie wesołe. Najgorsza to  
była ta beznadzieja. Jeszcze jak ta wojna była to tak, ale po  
jej skończeniu to ta walka wydawała się bezsensowna. Każdy był  
zmęczony i z rodziną był zmęczony. W każdym bądź razie jak wró-  
ciłem do domu to już prawie lato było, bo gdzieś koniec maja  
to był albo początek czerwca, tak, że tylko w drelichu byłem.  
Był koniec wojny i jakie perspektywy walki z bolszewikami? Ich  
tu od cholery i trochę i co to da, że my będziemy ich rozbrajać  
i będziemy ich bić? Nic to nie da. Pomyślałem sobie, że jak już  
koniec wojny to nie ma szans. W domu jak pobyłem te dwa tygodnie

widzę co się dalej dzieje to już... . Oczywiście jak odchodziliśmy z oddziału to każdy z nas zabrał ze sobą karabin. Swój zakopałem w chlewku - komórce koło domu. Podłoga była z cegły. Zdjąłem to, wykopałem dół. Wsunąłem tam skrzynkę, karabin owinałem tłustymi szmatami i schowałem w tej skrzynce. Potem jak mnie aresztowali to dałem znać do domu, żeby zabrali to stamtąd i wyrzucili do śmietnika. No i ojciec wyjął ten karabin i wrzucił do takiego dołu ze zlewkami za domem. Obawiałem się, że jak ktoś sypnie to wtedy zaczną sypać i wtedy będzie znacznie gorzej.

Aresztowali mnie na budowie. W melioracji byłem wtedy kierownikiem robót wykonawczych i prowadziłem kilka budów. Nadzorczy siedzieli na tych budowach a ja tylko jeździłem i ewentualnie jakieś poprawki wprowadzałem. No i aresztowali mnie właśnie na takiej budowie we wsi Puchały. Wcześniej już zauważyłem, że kręcą się tam ubekcy. Pełno ich było ale jakoś nie domacali się. Któregoś razu to już nawet planowałem dać stamtąd nogę. Dwa <sup>od tego gdzie jak mieszkałem</sup> domy dalej mieszkał komendant posterunku Narewski i gdy któregoś razu wróciłem z terenu gospodyni mówi do mnie, że był komendant posterunku i że pytał się o mnie. Co on chciał? Poszedłem więc do niego i pytam a on się zmieszał: Ja, nie, nic, nie tego. Coś mnie wtedy "kropnęło", że coś już tu niedobrze. A może to nie prawda, może to nic nie jest - pomyślałem sobie, bo gdzie tu uciekać.

Po kilku dniach przyszedłem z terenu, po drodze wstąpiłem jeszcze do kolegi. Wchodzę do domu a tu zaraz przed domem zatrzymuje się łazik i wyskakuje z niego czterech ubeków i wpadają do mieszkania z pistoletami w rękach: Ręce do góry!. Obmacali mnie. Gdzie broń? - Nie mam. - Gdzie broń? Gadaj! - zaglądały wszędzie. Z pieca wszystko wywalili, z kuchni wszystko wywa-

lili. Grzebali po szafach, pod łózkami, po wszystkich kątach. Nic nie znaleźli. (ubecy byli w mundurach). No i na gazik wsadzili i powiedźli do aresztu w Łonży. To było chyba 20 października. Trzymali mnie tam ze dwie doby. Pytałem się za co?. - Po mažu się dowiesz - usłyszałem odpowiedź. Żadnego śledztwa tam nie prowadzili. Zaczęło się dopiero gdy przewieźli mnie do Białegostoku. Trafiliem na powiatową milicję na Warszawskiej. Tutaj nierwiele dostałem. Trochę mi przyleli ale niewiele.

Miałem szczęście, bo ten co prowadził dochodzenie nie za bardzo pisał, tak, że starał się jak najmniej pytań zadawać. Potem przewieźli mnie do więzienia. Tu przyjechał do mnie asesor z prokuratury i odczytał mi moje zeznania z milicji i pyta się mnie, czy to wszystko prawda. Powiedziałem, że nieprawda. A dlaczego tak zeznawaliście?. - Chyba pan prokurator wie dlaczego tak się zeznaje. - Ano jak nieprawda to od nowa spiszemy - powiedział i przerwał na pół ten protokół i wyrzucił do kosza. I wtedy z tego co powiedziałem to zrobili akt oskarżenia.

Śledztwo to wyglądało w ten sposób, że wzywali o 3-9 godzinie rano tak na godzinę. Więcej to nie trwało. Nie męczyli mnie. Siedzieli w pokoju dwóch śledczych i zadawali pytania jeden przez drugiego: Gdzieś należał? jaki pseudonim?. zacząłem się wypierać to trzasnął mnie jeden i drugi raz po łbie. Ręką. raz to nawet spadłem z krzesła. Sadaj! I zaczyna mnie podpowiadać: A tu byłeś, a tam byłeś. No jak to jak już wiedo o tym, to już przytakuje i zeznałem to co było potem w akcie oskarżenia. Kto jeszcze był? Kto jeszcze był? - dopytywali się. Przecież z tobą był ten i ten. Widział cię tanten no tomówilem, że tacy byli w oddziale a reszty - powiedziałem - nie pamiętam, tak, że chyba specjalnie nikogo nie sypnąłem.

Takie śledztwo było chyba co drugi dzień przez jakie dwa ty-

godnie rano i wieczorem gdzieś o 16-tej, 17-tej brali mnie tak na pół godziny, godzinę i znowu: To samo powtarzają. Szukali gdzie się może pomyłę. Tak, że śledztwo nie było zbyt ostre. No i potem na rozprawie miałem szczęście, że ten prokurator miał gdzie. ważniejszą sprawę i sprawa odbyła się bez udziału prokuratora. Jeszcze ci z KBW co wieźli mnie z więzienia do sądu, eskortowali mnie, to radzili mi: Ty, słuchasz, nie zgadzaj się na dzisiejszy skład sądu. Ten Płonka to u niego wyroki śmierci lecą jak woda. - jak się nie zgodzę, to i tak mnie <sup>się</sup> nie posłuchają - <sup>i</sup> powiedziałem - i dostanę jeszcze więcej. ~~W~~ Jeszcze gorszy będę miał wyrok. - No twoja sprawa- odparł żołnierz - ale ja ci radzę, nie zgadzaj się na ten skład. Masz prawo. - Prawo, jak mi przyklepili to będę miał prawo. No i dobrze, że nie opowiadałem, a i dobrego miałem adwokata. Bronił mnie Choroszuca. Jak mnie bronił to powiedział: To nie jest wina oskarżonego, że tyle czasu ukrywał się i brał udział w walkach podziemnych. To jest wina władzy, która nie potrafiła odnaleźć oskarżonego. Proszę o uniewinnienie.

Po wyroku - po zastosowaniu amnesti dostałem 4 lata - podszedł do mnie adwokat i pyta się, czy będę składał odwołanie ~~w~~ od tego wyroku. A jak pan uważa, panie mecenasie? Chyba nie ma sensu? - spytałem się. Ma pan rację. Lepiej nie składać a może pogorszyć sprawę. No i dałem spokój i dobrze na tym wyszedłem. Razem ze mną sądzoby był Olszewski, tylko że jego to chyba wcześniej zgarnęli. Później to i razem siedzieliśmy w białostockim więzieniu. Ziutka Puławskiego to wcześniej zabrali na transport, a ja jeszcze tutaj zostałem. Siedziałem z Ziutkiem na jednej celi. Było tam ze ~~ok~~ 60-ciu paru ludzi, a była to cela przeznaczona na 10-15-tu. Tu spotkałem też Edka Dziemianowicza.

Tu dopiero dobrały się do nas wszy, pluskwy. Jak się spało

to na komendę trzeba było się przerwcać, bo leżeliśmy jeden przy drugim. Okropność. Pluskwy skakały z sufitu na głowę. Spaliliśmy na siennikach wypchanych słomą, ale było strasznie ciasno.

w Najgorzej to jak w Sosnowcu dali mnie do celi z Niemcami. Hitlerowcami. To było okropne. Nieraz jak zaczynaliśmy rozmawiać o wojnie to mówiliśmy o tym jak brutalnie zachowywali się w stosunku do jeńców, nawet w czasie bojów. Pamiętam jak opowiedziałem taką historię o tym jak stręcili aliancki samolot i wyskoczył z niego pilot to potrafili z samolotu jeszcze strzelać do niego to wtedy jeden z tych Niemców co siedział z nami w celi rzucił się do mnie: Cooo?! To nie prawda! Niemcy tak nie robili. - To wtedy w celi w mała wojna się nie zaczęła. Na takiej celi siedziało nas 10-12 i w tym od 3 do 4 Niemców.

W Strzelcach z kolei siedziałem z kryminalistami, bandytami, złodziejami, recydywą. Musiałem siedzieć i słuchać jak to jeden czy drugi siedzi za niewinność, bo zabił gospodarza, gdy ten wszedł do kurnika i zastał tam złodzieja. - To, cholera, chamie, za coś go zabił za te kury? - A po co on tam laż? - Taką była ich mentalność. Inny mówi, że kradł. - Jak to kradłeś? Przecież, żeby to było to ktoś musiał zapracować i wytworzyć to. - Śmierć frajerom, ja nie będę pracował, po co pracować. - Przecież ktoś musiał to zrobić. jak by wszyscy kradli to nic by nie było - mówię - tylko was tu wsadzić wszystkich. - Jak to powiedziałem to bałem się, że dostanę za to, ale znałem takiego jednego warszawiaka. Powiedział, że za tych smoluchów to nie warto kraść. 3 lat już siedział (miał 10). ( lat przesiedziałem i amnestia mnie nie obejmuje - powiedział. - I słusznie - dodałem - bo amnestia to dla tych, którzy w społeczeństwie mogą coś zrobić a nie tylko patrzeć gdzie by tu co zagarnąć. - Oooo, ja teraz to już nie pójdę kraść. - Dlaczego? - A bo trzymają już

tyle czasu i za co?. - Zaco? Boś ukrad - odpowiedziałem. A oni zrobili jakieś włamanie do sklepu prywatnego i wywieźli masę materiału. Któryś tam sypnął i tego złapali i dostał 10 lat. No i co - powiedziałem - gdyby przed wojną tak karali to by nie było tyle tych złodziei?. - Chyba tak, bo to się nie opłaci - westchnął za dobrymi czasami. Przed wojną to oni napadali na sklepy jubilerskie. Za pierwszym razem dostał 2 lata, przesiedział ~~xxx~~ <sup>trzy</sup> miesiące, amnestia, wypuścili. Za drugim razem dostał trzy lata, przesiedział 8 miesięcy, wypuścili. A raz się udało to kupić se posesję w Częstochowie i rodzina ma być zapewniony. To był już starszy facet.

W Strzelcach przez półtora roku nie brali mnie do żadnej pracy. Siedziałem w celi. Potem trafiłem w transporcie do Knuruwa, do kopalni węgla. Rx To była straszna robota. Człowiek nie wiedział czy wyjedzie xspowrotem. Co dzień wywozili dwóch-trzech nieżywych. Cały czas myślałem jak się stąd urwać. Na szczęście co jakiś czas były badania profilaktyczne i trafiłem do lekarza. Było dwóch młodych lekarzy. Kazali mi się rozebrać i pytają się co wam?. Każdy mówił, że na coś tam choruje a ja mówię, że nic mi nie jest, ale chciałbym stąd wyjść. Przyznaję się, że chciałbym, żeby coś takiego zasugerować, żeby wyjść z kopalni, bo nie chcę tu robić (początkowo pracowałem na ścianie przy eksploatacji węgla. Dziury tam się kopało x i kilofem ładowało się węgla na wózki. To była cholernie ciężka robota. Potem przesunęli mnie stamtąd na zawał, na chodniki awaryjne. Tam były zawałone maszyny do odkopywania. Zszedłem z 700 m na 1200. Tu już praca była lżejsza, bo nie trzeba było ładować tego węgla na wagoniki tylko przesuwano się skałę do tyłu, gdzie zabierał ją drugi. Dziura wąska była. Dwóch górników i nas dwóch więźniów tam pracowało. I tam z tymi górnikami przy robocie się rozmawiało. Okazało x że się, że płacili im 4-5 razy tyle co nam. Ale tu jak tańcie to

nie zdążysz mrygnąć i już cię nie ma - powiedział jeden z nich. Jak to? - zapytałem. - Ano tak. Na kopalni to zanim się zawali to te wszystkie stmp<sup>e</sup>le trzeszczą, to już wiemy, że tu jest nie-dobrze, a tutaj nic nie trzaśnie. jak trzaśnie to już cię nie ma - Po jako cholere ja tu robie? - Pomyślałem sobie - to on za pięciokrotnie, czy dziesięciokrotnie wyższe wynagrodzenie, a ja za co tu b<sup>e</sup>dę - i mówię do lekarza: Wpakowali mnie na tako robo- te - na awaryjne, na zwa<sup>a</sup>ły i chciałbym prosi<sup>a</sup>ć... . Dobra, roz- bierajcie się. - Coś tam popisał i mówi: Jesteście chorzy na ser- ce. To ciężki przypadek. Na dole pracować wam nie wolno. Władze będą o tym powiadomione. To mnie się podoba - powiedział na ko- niec - przyszed facet i mówi krótko o co mu chodzi i nie kręci, i nie denerwuje. To mi się podoba i dlatego będzie z kopalni zwolnieni. I rzeczywiście. Za dwa dni wzywają mnie do kancelar- ii i mówią, że: Na dół już nie pojedziecie. I zrobiło się jesz- cze gorzej, bo trafiłem na izolatkę. Żadnych gazet, żadnych spa- cerów tylko cztery ściany i jeszcze jeden więzień. Siedziałem tam ze dwa tygodnie.

Po trzech miesiącach pobytu w Strzelcach przeszucili nas do Sosnowca. I tu też trafiłem na izolatkę z Niemcami. Może nie była to izolatka tylko taki karny oddział. Nie było tam żadnych gazet ani paczek. Nic. Siedziałem tu dwa miesiące i stamtąd przewieźli mnie pod Włocławek do karnego obozu k pracy. Tu z ko- lei to była leśna polana otoczona drutem kolczastym. Wyszki. Ba- raki i piach jak na pustyni a dookoła las. Jak wiatr wiał to ku- rzyło się z tego jak sto diabłów. Jak tu się znalazłem to już tylko rok do odsiedzenia mi zostało. Tak, że niejagorzej tu było Tu też były pierepałki. Ciągłe ganiali. Zbiórki i padnij, pow- sta,, biegiem marsz, padnij powstań, biegiem marsz tak jak w koncentracyjnym obozie. To szczególnie recydywa się buntowała.

No i w końcu po tygodniu gdzieś zrobili zbiórkę i pytają się kto do roboty chce iść. Macie - mówią - betoniarnię, lastryko, szwalnia, warsztaty stolarskie i ślusarskie. No to ja zgłosiłem się do betoniarni, tzn. zgłosiłem się do roboty a przydzielili mnie do betoniarni. Takich co zgłosili się do roboty było jednak tylko kilkunastu a więźniów było kilkuset. To przeważnie byli złodzieje. Recydywa. Oooo, śmierć frajerom, nie pójdziemy do roboty - mówili.

Zaprowadzili nas na oddzielny barak, też otoczony drutem kol-  
czastym. Praca była co praca ciężka ~~złxxxxxxxkxxxx~~<sup>w</sup>, bo tam tre-  
krawężniki to trzeba było się narobić  
linkę robili, płyty, ale po robocie to i żarcie było lepsze a  
po przyjściu z pracy barak był otwarty. Można było sobie wyjść  
na słońce, pochodzić a tamci siedzą w barakach i tylko przez  
okna przyglądają się. Przez cały dzień byli w barakach. Tylko  
rano wypuszczali ich na pół godziny po to, żeby ich poganiać:  
padnij, powstań. No to jak wam tam - jeden z nas krzyczy do nich  
A pochlopke tako już trzeci dzień dajo, że ściany trzeba się trz-  
mać, żeby chodzić - odpowiedział jeden. Nareszcie minęło ze trzy  
tygodnie i patrzę, że ci najtwardsi są już w robocie. Oooo! Cho-  
lera, to żeś już przyszedł do roboty? - zdziwiłem się. - No cho-  
lera. R Zdechnąć ~~z~~ ~~ś~~ przyszłoby się. Muszę robić. - Widzisz,  
jak to z wami trzeba - powiedziałem - nie dać jeść i będziecie  
robić. I tak się złamali.

Tam pracowałem ze trzy miesiące już gdy zaczęli szukać ko-  
goś, ktoby im wytyczył teren do niwelacji pod strzelnicę, któr-  
rą chcieli zbudować dla strażników. Odnaleźli w moich papierach,  
że ja pracowałem w melioracji i pytają się mnie, czy to robiłem.  
- No tak - odpowiedziałem - ale do tego potrzebne są instrumen-  
ty, łaty żeby były. - No niee, ale żeby jakoś bez tego jeszcze  
zrobić. No to zacząłem kombinować. Łaty zrobiłem z desek. wyry-

sowałem, pomalowałem jakoś atramentem. Zrobiłem trójnog. Wodowagę pokłóżyłem na to zamiast niwelatora i jakoś zniwelowałem im ten teren. Paliki powbijalem gdzie nasypać ziemi, gdzie trochę zdjąć, żeby było równo. Jakoś zrobiłem im to. Wtedy przyczepili się do mnie, żeby koniecznie iść do ich biura konstrukcyjnego. Rysunki wyznacie i umiecie takie rzeczy robić to koniecznie - powiedzieli. Co z tego będę miał? - Ano będziecie mieli wypiski, bo tam jest kantyna. Będziecie mogli sobie margarynę sobie kupić, jakąś kaszę, końską kiełbasę na kartki dostaniecie. - No to niech będzie - zgodziłem się - Nie wiem tylko czy potrafię. Nie miałem się jednak czego obawiać bo tam dali mi do pomocy ~~xxxxxxx~~ czterech inżynierów. Robiliśmy różne rysunki, inwentaryzację maszyn z tokarni, opisy gdzie jaka naprawa potrzebna. To ja rysunki robiłem i tylko z nimi naradzałem się jak to opisać, żeby to fachowo było.

Za obozem była bocznica kolejowa, gdzie stawały pociągi na które które ładowano te wyroby betonowe. To była bardzo stara linia. Leżała 7 km od Włocławka. Oni chcieli ją przerobić, żeby lepiej funkcjonowała, żeby zniwelować go. Nooo - powiedziałem - teraz to ja już tego z wasserwągi nie zrobię. Tu trzeba instrument. Ściągnęli instrument. Jak zrobić projekt przeróbki to ja muszę mieć fachowe podręczniki kolejowe, bo tam niektóre łuki trzeba było złagodzić, żeby ~~nie~~ lokomotywa tam weszła. Dostarczyli mi wszystko. No to teraz trzeba mi dwa-trzy tygodnie, żebym ja to opracował - mówię - bo przecież żeby projekt zrobić, to trzeba opracować kosztorys, wszystko... . Wszystko mi dali. Siedziałem aż zrobiłem wszystko: rysunki, mapy, jak trzeba.

Naczelnik zabrał to i pojechał do kolejowej dyrekcji, żeby to zatwierdzili. Byłem ~~nie~~ w strachu, że to będzie źle. Przyjeżdża naczelnik i pytam go: ~~W~~ No i jak tam. - Aaa - machnął ręką

ką - szkoda gadać. Ale patrzę, że woła mnie do drugiego pokoju i stawia flachę piwa. Powiedzieli - mówi - że żeby tak każda robota była zrobiona, żeby tylko tak każdy projekt wyglądał to byłoby bardzo dobrze.

To od tego czasu to ja wszystkiego <sup>ał</sup> miałem ~~wzyszkxkxkx~~ w bród. Jak rano przychodziłem do roboty to pod biurkiem stały zawsze dwie-trzy flaszki piwa. Na frajer. Już do końca miałem tu pierwszorzędnie. I jeszcze tylko przez to miałem kłopoty ze zwolnieniem. Wy stąd nie wyjdziecie - powiedział naczelnik - dopóki nie dacie na swoje miejsce kogoś. - A skąd ja tu wezmę. - Dostaniecie unundurowanie, mieszkanie, dobre zarobki. Zostańcie i prowadźcie to dalej. - Ani minuty dłużej tu nie ~~xxkx~~ chcę spędzić.

- To na swoje miejsce musicie kogoś tu dać bo inaczej nie wypuścimy was. Nareszcie jakoś domówiłem jakiegoś technika drogowego i wyszedłem na wolność w październiku 1953 r.

Oczywiście nigdzie nie chcieli przyjąć mnie do pracy, więc poprzez stare znajomości zatrudniłem się w Urzędzie Zimskim.

Spisał w marcu 1992 r. z kasety Jerzy Kułak.